

Brunon Bartz

O tym, co wpływa na nauki pedagogiczne w skali globalnej

Studia Gdańskie. Wizje i rzeczywistość 4, 7-23

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Brunon Bartz*

O tym, co wpływa na nauki pedagogiczne w skali globalnej

Andragogika i pedagogika pracy to dziedziny, w których zakres weszło między innymi zagadnienie prawidłowości przygotowania ludzi do świata pracy. Praca jest od zarania dziejów jednym z najistotniejszych środków samorealizacji człowieka, ale jej wykonywania i efektów nie determinują już tylko warunki lokalne i krajowe, lecz także kontynentalne i globalne. Nie ma wobec tego wątpliwości, że warunkiem rozwoju dwóch wyżej wymienionych subdyscyplin jest dobra orientacja w przemianach, jakie zachodzą w świecie z perspektywy politycznej i ekonomicznej. W moim przyczynku koncentruję się na przemianach inherentnych, czyli tych dotyczących każdego człowieka, bez względu na kulturę, w której się urodził i aktualnie żyje, gdyż w ostateczności nawet człowiek przez pewien czas niepracujący jest uzależniony od innych – pracujących.

Powstawanie światowego społeczeństwa

Tematykę tę podejmuję dlatego, że na co dzień mamy poczucie jej niezaspokojonego niedosytu. Społeczeństwa europejskie, które znam z autopsji, w tym bardziej polskie niż niemieckie, zajęte są przede wszystkim intensywnym rozwiązywaniem bieżących problemów ekonomicznych i socjalnych, w krótkim lub co najwyżej średnim horyzoncie czasowym. Na naszym kontynencie ludność – od warstw średnich do najniższych – krząta się z coraz większą determinacją wokół spraw dotyczących zachowania lub zdobycia pracy, zabezpieczenia bytu na starość, a jeżeli starczy sił i środków, zabiega o podreperowanie zdrowia, korzystanie z mediów oraz – w znikomym stopniu – o pomoc słabszym lub uczestnictwo w przedsięwzięciach ogólnospołecznych. Coraz mniej ludzi zajmuje się pomnażaniem swojego potencjału. Ludzi absorbuje utrzymanie tego, co kiedyś osiągnęli, gdyż – jak twierdzą – widoków na polepszenie ich położenia (ani ze strony rządzących, ani państw powołanych przeciw dla do-

* Dr hab. Brunon Bartz, Institut for Cross-Cultural-Competence w Duisburgu, Gdańska Wyższa Szkoła Humanistyczna, ul. Biskupia 24 b, 80-875 Gdańsk, e-mail: brunon.bartz@interia.pl.

bra obywateli, chociaż są zintegrowane w Unii Europejskiej) nie można ocze-kiwać. W europejskich społeczeństwach, zróżnicowanych pod względem ma-jątkowości, produktywności i kultury codziennej, ale zjednoczonych z uwagi na wspólne pragnienie pokoju i wolności, panuje powszechne odczucie nieufności do instytucji państwa, egzystencjalnej frustracji, wręcz bezsilności, jeśli chodzi o przyszłość i związane z nią nadzieje – mimo likwidacji podziału na dwa prze-ciwstawne bloki ustrojowo-militarne, wolnego przepływu osób, dóbr i usług oraz wszechstronnej współpracy we wszystkich dziedzinach życia. Najbardziej wyrazistym dowodem na taki stan rzeczy jest minimalny udział upoważnio-nych do głosowania obywateli w wyborach do władz lokalnych, krajowych i europejskich. W ten sposób władze te są co prawda wybrane zgodnie z demo-kratycznymi procedurami, ale nie są legitymizowane przez większość ludności zamieszkującej na danym obszarze. Jest to najbardziej rażący deficyt demokra-tycznych mechanizmów i zarazem znak nieufności obywateli do partyjno-pań-stwowej hierarchii. Miarodajni obserwatorzy tych niekorzystnych oznak dzielą się na tych, którzy przypisują je błędnej i skorumpowanej polityce, oraz na tych, którzy wiążą je z cechami fazy rozkładu europejskiej kultury. Tylko na naszym kontynencie mamy do czynienia ze zjawiskiem aspołeczności mieszkańców (redukcją aktywności dla dobra społeczeństwa), obniżeniem pozycji rodziny i niechęcią kobiet do rodzenia dzieci, zanikającym etosem pracy, przedsiębior-czości i w ogóle kreatywności, a tym samym z hamowaniem rozwoju w zaspoka-janiu najżywniejszych potrzeb ludzkich.

W tym samym postmodernistycznym czasie dostrzegamy niebywałą w do-tychczasowej historii, przyspieszoną realizację wizji społeczeństwa globalnego, a dotyczy to – o ironio – dużych połąci naszej cywilizacji zachodniej. Zaraz na wstępie tych rozważań trzeba przy tym zaznaczyć, iż chodzi tu o powszechnie zauważalne trendy wśród społeczeństw funkcjonujących w ramach różnych państw, a nie o rozwój światowej zbiorowości zdążającej do utworzenia jednego rządu (takiej możliwości jednakowoż nie można w przyszłości wykluczyć).

W celu uproszczenia charakterystyki tworzenia się społeczeństwa światowego podzielono dalej wartości i światopoglądy na te, które pochodzą z cywilizacji za-chodniej (wliczając do niej także cywilizację południowoamerykańską) i te, które wywodzą się z pozostałych cywilizacji, określanych przez wielu badaczy jako „wschodnie”. Jest powszechnie wiadome, że Zachód przyznaje się do lansowania w świecie idei indywidualnej wolności, chrześcijaństwa, demokracji, pluralizmu, państwa prawa i kapitalizmu (dodajmy, iż kraje należące do naszej cywilizacji urzeczywistniają je w różnym stopniu i mało kiedy w czystej formie). Za centrum cywilizacji zachodniej uznaje się Stany Zjednoczone Ameryki i to im przypada pierwszorzędną rolę w jej ochronie i modyfikacji. Nie jest natomiast powszechnie wiadome, że Amerykanie mają zupełnie inne podejście do Europy i do po-jęcia narodu, co mogłoby mieć niebagatelne znaczenie w określeniu wspólnej misji Zachodu. Otóż poświęcona tej tematyce anglojęzyczna literatura naukowa (przycyca ją Andrzej Walicki, powołując się na takich naukowców, jak Gellner,

Anderson, Hobsbawm) podaje, że narody nie są naturalnymi zbiorowościami, ale tworam i wymyślonymi i wyobrażonymi. Na pytania, jak wobec tego amerykańskie elity opiniotwórcze definiują amerykański naród i czy podkreślają jego europejskość, czy chcą, by był narodem w europejskim tego słowa znaczeniu, odpowiadają według Walickiego: „Nie, zdecydowanie nie! Europocentryzm uznawany jest za niemal odmianę rasizmu. Europa postrzegana jest najczęściej jako zbiór małych narodów i zarzewie nieustannych wojen. Europejczycy nie przestali uczyć się swej historii, Amerykanie natomiast z nieukrywaną satysfakcją przestali traktować dzieje Europy jako studium swoich własnych korzeni. Wskutek wielu przyczyn Ameryka nie zdołała wchłonąć kolejnych fal migracji i przekształcić się w naród typu europejskiego. Nie ma więc w USA ani homogenicznego narodu, ani państwa wielonarodowego, ani narodu wieloetnicznego, na wzór Szwajcarii. Istnieje natomiast dynamiczne i mobilne społeczeństwo masowe, posegregowane według kryteriów rasowych. Niewykluczone przecież, że w tym stuleciu większość świata przekształci się w społeczeństwa migrantów, a jedyną alternatywą dla tego procesu pozostałyby krwawe czystki etniczne. A jeśli tak będzie, to doświadczenia USA, paradymatycznego kraju migrantów i pierwszego wielkiego społeczeństwa postnarodowego, staną się zapewne nieocenione”¹. Opcją rządu amerykańskiego jest multikulturalizm (którego nie można mylić z ideą państwa wielonarodowego ani tym bardziej z koncepcją narodu politycznego, jako wspólnoty moralnej opartej na wspólnej świadomości historycznej), czyli włączenie przedstawicieli różnorodnych grup etnicznych do budowy i wzbogacania społeczeństwa z zachowaniem ich rodzimych tradycji kulturowych. Tym samym multikulturalizm w wydaniu amerykańskim jest, jak dowodzi Walicki, rezygnacją z idei narodu jako wspólnoty historycznej i kulturowej.

Między niezachodnimi systemami wartości istnieją ogromne różnice. Książkami na ten temat można by zapełnić wiele bibliotek, ale można z nich także wyłonić kilka bardzo istotnych punktów stycznych. O ile cywilizacja zachodnia w centrum stawia „indywiduum”, o tyle w kulturach wschodnich wszystko skupia się wokół „ściśle uporządkowanej wspólnoty”. W niepozostawiającej wątpliwości formie artykułuje się tam nie indywidualne prawa, lecz społeczne zobowiązania, nie wolność, lecz podporządkowanie się wyższemu celowi i wyższemu autorytetowi (religijnemu lub świeckiemu), nie poświęcenie się gromadzeniu dóbr materialnych, lecz służbę jednemu lub wielu bogom, lub też wspólnym dobrom, ustalonym przez państwo. Tego rodzaju normatywną pozycję Wschodu określa się na Zachodzie „autorytarnym komunitaryzmem”. „Społeczny porządek” zalicza się do nadrzędnych wartości w różnych azjatyckich filozofiach i religiach, szczególnie wagę przykładają do niego także w świecie islamu i judaizmu.

Z punktu widzenia ludzi Wschodu Zachód jawi się jako anarchizujący, materialistyczny i hedonistyczny, a ludzie Zachodu jako mniej lub bardziej egocen-

¹ A Walicki, *Czy Ameryka oddala się od Europy?* „Gazeta Wyborcza” z dnia 26/27. 06. 2004, s. 16.

tryczni oraz w żalony sposób pozbawieni autorytetów i poczucia więzi ze społeczeństwem. Socjologowie zachodni (m.in. Ferdynand Toemis, Emil Durkheim, Robert Park, Francis Fukuyama) potwierdzają w swoich ostatnich publikacjach takie tendencje Zachodu, jak delegitymizacja autorytetów, osłabienie więzi ze wspólnotą i brak poczucia odpowiedzialności za dobra ogólne przy jednoczesnym wykwicie indywidualizmu o naturze ekspresywnej (psychologicznej) i instrumentalnej (ekonomicznej). Wschód i Zachód mają to, czego potrzebuje cały świat, i potencjalnie mogłyby się przyczynić do powstania normatywnej synergii, przy której nowe społeczeństwo czerpałoby z najlepszych wzorów ludzkości, tworząc koncepcję funkcjonowania lepszą od dominacji indywidualizmu lub autorytarnego komunitaryzmu. Jak na razie o pryncypiach wychowania i treściach kształcenia decydują władze państwowe, co – niestety – często nie kształtuje ani pożądanego rozwoju osobowości, ani zaledwie nie przybliża do – zarysowanego przez Amitai'a Etzioniego – modelu dobrego globalnego społeczeństwa, „które musi budować harmonię między respektem wobec praw indywidualnych a obowiązkami na rzecz dobra ogólnego oraz zaangażowaniem dla stopniowego rozwoju demokracji, prawa i porządku społecznego”².

Wzrost ruchu migracyjnego

Światowe społeczeństwo staje się rzeczywistością nie tylko za sprawą globalizacji interesów i stałej rewolucji technologiczno-informatycznej, ale także za sprawą narastającego ruchu migracyjnego ludzkości. Liczba krajów imigracyjnych wzrosła w latach 1970–2002 z czterdziestu do siedemdziesięciu, natomiast liczba krajów emigracyjnych, w tym samym czasie, z trzydziestu do pięćdziesięciu pięciu, przy czym piętnaście krajów należy do obydwu kategorii. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie nie emigrują z własnego kraju i stron rodzinnych przypadkowo i spontanicznie, lecz na podstawie racjonalnej decyzji, wynikającej z wyznawanego systemu wartości, który zamierzają realizować. Jednym z warunków emigracji jest istnienie gdziekolwiek mniej lub bardziej stabilnej społeczności, składającej się z ludzi, których potrzeby są zaspokajane choćby w minimalnym stopniu. Jeżeli w ramach danego społeczeństwa potrzeby jednostki nie są spełniane (istnieje zatem dysonans) i nie ma widoków na ich spełnienie w przewidywalnym czasie i w najbliższym otoczeniu, rodzi to u niektórych osób życzenie, by przenieść się w inny region własnego kraju (emigracja wewnętrzna) lub wyjechać za granicę, z nadzieją zdobycia oczekiwanych dóbr i realizacji wyznawanych wartości w innym kraju. Patrząc z indywidualnej perspektywy, do emigracji skłania zazwyczaj pewna konstelacja motywów związanych z ogólnie niekorzystną sytuacją życiową. Emigracja w skali masowej od wieków wynika z przyczyn pierwotnych (bieda, represje, wojna, zanieczyszczenie środowiska) i wtórnych (przemoc, niespra-

² A. Etzioni, *Wie eine gute Gesellschaft entsteht*. „Internationale Politik und Gesellschaft“ 2004, nr 2, s. 23 [ten i kolejne cytaty z wydań obcojęzycznych w tłumaczeniu moim – B. B.].

wiedliwość społeczna, przyrost ludności, ograniczenie zasobów naturalnych). Ich natężenie w ostatnich dziesięcioleciach w niektórych regionach świata (Afryka, Azja) wydatnie wzmagają uchodźstwo ludzi. Wszystkie przyczyny emigracji składają się na tak zwane czynniki „wypychania”, ich odwrotnością są zaś czynniki „ssania”, czyli wolność, praca i dobrobyt.

Statystyka ruchu migracyjnego wskazuje na jego przyspieszone tempo. Jeszcze do XIX wieku liczyło się emigrantów w dziesiątkach milionów, do lat osiemdziesiątych minionego wieku liczone ich w setkach milionów, od lat dziewięćdziesiątych tegoż wieku zaczęto ich już liczyć w miliardach, a obecnie wszystko wskazuje na to, że ich liczba sięgnie kilku miliardów. Populację o największej dynamice przyrostu stanowią uchodźcy ekologiczni (około 1,5 mld). Ze względu na stałe zagrożenie ich środowiska (ogólne ocieplenie klimatu, powódzie, susze, pustyńnienie obszarów uprawnych, brak wody pitnej) zmuszeni są opuszczać dotychczasowe tereny zamieszkiwania. Mimo tego tylko niecałe 5% globalnego ruchu migracyjnego dotyczy cywilizacji zachodniej. Ze wspomnianych przyczyn pierwotnych i wtórnych, jak też z powodu niebywałego rozwoju techniki komunikacyjnej, liczba kontaktów (elektronicznych i bezpośrednich) między ludźmi z różnych kultur przyrasta w postępie geometrycznym, toteż powstawanie kosmopolitycznego społeczeństwa i światowego obywatela stało się faktem.

Jeżeli dałoby się zmniejszyć ziemię do rozmiarów wioski, którą zamieszkuje stu mieszkańców, mieszkaliby na niej mniej więcej: 57 Azjatów, 21 Europejczyków, 14 osób z zachodniej półkuli, 8 Afrykanów, 52 kobiety, 48 mężczyzn, 70 nie-białych, 30 białych, 70 nie-chrześcijan, 30 chrześcijan, 89 heteroseksualistów, 11 homoseksualistów, 6 osób posiadałoby 59% bogactwa całego świata i wszystkie 6 byłoby ze Stanów Zjednoczonych, 80 osób żyłoby poniżej standardu, 70 nie umiałoby czytać, 50 osób cierpiałoby z powodu niedożywienia, jedna osoba byłaby bliska śmierci, jedna osoba byłaby bliska narodzin, jedna miałaby wyższe wykształcenie i jedna posiadałaby komputer. Następne pokolenia muszą być przygotowane do spotkań z ludźmi o tak zróżnicowanym podłożu kulturowym i statusie społecznym. Potrzeba respektu dla innych ludzi, zrozumienia ich położenia i oświaty dla interkulturowego porozumienia staje się w tej sytuacji wyraźna. Efektywna współpraca międzyludzka odbywa się współcześnie w układzie policentrycznym, a nie etnocentrycznym. Wielkie organizacje gospodarcze, sportowe i polityczne, szczytujące się największymi sukcesami, mają charakter wielokulturowy. Wzmożony ruch migracyjny i mieszanie się przedstawicieli różnych kultur maksymalnie wykorzystują tzw. klasyczne kraje imigracyjne (Australia, Kanada, USA, Nowa Zelandia) i niektóre kraje europejskie (kraje skandynawskie, Holandia i Szwajcaria), prowadząc sprzyjającą politykę integracyjną. Należą one do wygrywających i pozytywnie dyskontujących nieodwracalny proces globalizacji. Wielokrotnie szybszy wzrost gospodarczy w tych krajach jest tego najlepszym potwierdzeniem. Jedynie większość krajów europejskich nie zamierza zmienić swego negatywnego stosunku do migrantów, jakby nie zauważała, że bez

ich udziału poziom europejskiego życia pogarsza się już i będzie się nadal pogarszał. Podam tylko jeden wskaźnik. Otóż w roku 2050 przeciętny wiek mieszkańca USA ma wynosić 35,2 lat, natomiast mieszkańca Europy 57,2 lat. W krajach UE nie ma przyrostu naturalnego, tak więc imigracja jest jedynym środkiem przedłużenia egzystencji gospodarki i dobrobytu. Jak pisze Alfred Zaenker, aby utrzymać aktualny poziom życia, UE musiałaby do roku 2025 przyjąć trzydzieści pięć milionów imigrantów³. Społeczeństwa europejskie nie są na to przygotowane ani mentalnie, ani politycznie. Wielkie odłamy tych społeczeństw nie chcą tolerować i respektować reprezentantów innych kultur, zapominając najwidoczniej, że w przeszłości to Europejczycy byli mistrzami w dziedzinie emigracji (w latach 1821–1924 wyemigrowało z Europy na dwa kontynenty amerykańskie około 55 mln jej mieszkańców), a ich potomkowie do dzisiaj wydatnie pomagają krewnym i krajom swego pochodzenia.

Raport studyjny Banku Światowego, opierający się na badaniach w wielu krajach w latach 1960–1995, kończy się znamienym wnioskiem: im mniejsza wielorodność etniczna, tym wyższe ryzyko napięć społecznych i konfliktów zbrojnych. Społeczeństwo złożone z mieszanców jest bardziej wyrozumiałe i sprawiedliwe dla innych. Europejskie tradycje w tym zakresie są złe, by przypomnieć długi okres wojen z pobudek narodowych czy do dziś niezażegnane konflikty etniczne i religijne w Hiszpanii, byłej Jugosławii i Irlandii Północnej. Konflikty te miały niejednokrotnie i mają nadal swoje korzenie w etnocentryzmie, apoteozie narodowych interesów i zwykłej megalomanii. To głównie z tego powodu kierownice warstwy polityczne Europy nie wykazują woli uznania ruchu migracyjnego za naturalne wśród ludzi zjawisko oraz woli nie tylko tolerowania różnorodności kulturowej, ale także jej popierania. Błąd Europejczyków polega na tym, że kurczowo trzymają się przeżytych modeli kulturowych, a ludzi niefolgujących tym modelom odrzucają lub traktują sceptycznie. Operowanie argumentami o zagrożeniu tożsamości kulturowej jest podwójną fikcją, ponieważ tożsamość może być wielostronna, natomiast kultura jest dynamiczna, nieustannie się zmienia. Kultura nie jest raz na zawsze wyrzeźbionym granitem, lecz żywym tworem ludzkiego uczenia się w domu i poza nim. To, co dzieje się poza dzisiejszym domem rodzinnym, jest bardziej dostępne, atrakcyjne i zmienne niż kiedykolwiek, stąd niejednokrotnie zaskakujące i niezrozumiałe. Jednakże wykorzystanie tego, co proponują ludzie z innych kultur, może przyczynić się do rozwiązania naszych problemów – sprawdza się to w wielu międzynarodowych organizacjach, przedsiębiorstwach i przedsięwzięciach.

Metodyką współpracy ludzi w kontekście wielokulturowym zajmuje się od dziesiątek lat inna subdyscyplina nauk o wychowaniu: pedagogika interkulturowa, z której dorobku bez przeszkód możemy czerpać.

³ A. Zaenker, *Der Weltbuerger von Morgen – ein Mischling?* „Mut” 2001, nr 404, ss. 31–35.

Rozwój geopolityczny

Dzięki geopolitycznemu spojrzeniu uzyskujemy materiał do innych rozważań. Aby analizować świat od tej strony, dobrze jest oderwać się od codzienności w mikroskali, od populistycznych sloganów, krótkowzrocznych interesów partyjnych i własnego partykularyzmu. Konieczne jest rozszerzenie horyzontu, a nie rozpatrywanie wydarzeń przez pryzmat ideologicznych przekonań czy moralnych uprzedzeń. Świat jutra nie rozpocznie się od jutra, on jest już dawno w biegu. Wychodząc z tego przeświadczenia, znane brytyjskie czasopismo „Economist” spróbowało parę lat temu naszkicować obraz konstelacji mocarstw światowych XXI wieku, a dokładnie odpowiedzieć na pytanie, które z nich będą decydować o przebiegu rozwoju tego świata w okresie najbliższych trzydziestu – czterdziestu lat. To niezwykle odważne, geopolityczne studium oceniało cztery następujące czynniki: siłę ekonomiczno-militarną, materialne interesy danego państwa w skali światowej, wszechstronność polityki zagranicznej i poparcie ludności. Rezultatem tych analiz było stwierdzenie: „USA utrzyma swoją przodującą pozycję, ale nie zostanie mocarstwem, które opanuje cały świat. Jedynym prawdziwym rywalem USA będą Chiny, nie zaś UE, Rosja, Japonia lub Indie. Świat muzułmański będzie wprawdzie dość bogaty, aby pozyskać najnowocześniejszą broń, nie będzie jednak dysponował centralną organizacją, która odpowiadałaby za osiągnięcie wspólnych celów”⁴.

Od czasu przeprowadzenia powyższej analizy wiele zmieniło się na naszej planecie. Doświadczamy skutków islamskiego terroru, irackiej wojny i antyamerikanizmu. Spójrzmy krótko na dominujące zjawiska i siły ponadkontynentalne oraz ich dynamikę rozwoju w celu określenia prawdopodobnego wpływu na naszą sytuację. Według szacunków ONZ liczba ludności wynosząca aktualnie około 6,3 mld osiągnie w roku 2030 około 8 mld, a w roku 2050 – prawie 9 mld, to znaczy wzrośnie niemal o połowę. Jest to wspaniała wiadomość, gdyż więcej ludzi oznacza więcej mądrych głów i pracowitych rąk. Prawie wszędzie ludzie są wydajniejsi i starsi. W XX wieku przeciętna długość życia wzrosła z 49 do 66 lat. W roku 2050 w większej liczbie krajów względnego dobrobytu ludzie będą żyli 82 lata, natomiast w krajach biedniejszych – 73 lata. Ogólnemu przyrostowi demograficznemu ludności towarzyszy stała rewolucja technologiczno-komunikacyjna i coraz produktywniejszy globalny podział pracy. Dzięki temu wzrost produkcji powinien się zwiększyć do 2050 roku cztero-, a nawet pięciokrotnie, przeciętny dochód na jednego mieszkańca ziemi powinien zaś wzrosnąć z 6 000\$ w 2000 r. do 18–20 000\$ rocznie, co równałoby się dzisiejszej sile nabywczej jednego Europejczyka. Gros tych epokowych zmian rozegra się na kontynencie azjatyckim. To Azja stanie się punktem ciężkości naszej ziemi, i to kosztem Europy i Rosji. Około 2050 roku Azjaci będą stanowić nie mniej jak 60% ludzkości i wytwarzać

⁴ B. Bartz: *Powstawanie globalnego społeczeństwa z perspektywy geopolitycznej*. [W:] *Suwerenność państwa we współczesnych stosunkach międzynarodowych*. Pod red. Z. Leszczyńskiego i S. Sadowskiego. Warszawa 2005, s. 21.

połowę wartości dóbr świata (o wiele taniej i szybciej niż my dzisiaj). Stany Zjednoczone pozostaną pierwszym na świecie mocarstwem jeszcze długo, przemawia za tym ich geostrategiczne położenie, militarna przewaga, obecność we wszystkich częściach świata, wielokulturowe, wieloreligijne i patriotyczne społeczeństwo, wreszcie zorientowana na cały świat gospodarka. Niezwykłym walorem USA w porównaniu z innymi mocarstwami i Europą jest to, że nieomal każdy emigrant w krótkim czasie może stać się Amerykaninem, w przeciwieństwie do Europy, gdzie niestety nie każdy przybysz może na to liczyć w jakimkolwiek kraju europejskim. Z globalnego punktu widzenia USA stanowią już dziś eksperymentalny model światowego społeczeństwa, w gruncie rzeczy w udanym wydaniu.

Na tle tak imponującego postępu w rozwoju mocarstwowego potencjału, obserwowanego w Chinach i USA, możliwości UE i Rosji w tej mierze uległy znaczącemu spowolnieniu, a ich wpływ na wydarzenia o randze światowej bezustannie maleje. Faktycznie są one mocarstwami drugiej klasy. Nadzieja, że UE dzięki jej technicznej mocy i rozkwitowi kultur stanie się drugim w świecie obok USA mocarstwem, okazała się iluzją. Europejczycy nie wykazują politycznej woli szybkich przemian i nie potrafią wypracować konsensusu w kwestiach dotyczących stosunku do reszty świata. Produkt społeczny w przeliczeniu na jednego mieszkańca utrzymuje się jeszcze na drugim miejscu po USA, ale w ciągu dziesięciu lat spadnie na trzecie miejsce, gdyż UE zostanie pod tym względem wyprzedzona przez Chiny. Odsetek ekspansji gospodarczej UE na rynki zewnętrzne permanentnie spada. W ostatnich dziesięciu latach wynosił rocznie 2%. Ten sam odsetek w przypadku USA wyniósł 3,2%, a w przypadku Chin – 8,2%! W Europie pożegnano się już z przyrostem naturalnym ludności, co koreluje ze spadkiem liczby osób wiekowo zdolnych do pracy oraz ze zmniejszeniem tempa wzrostu gospodarczego. Większość krajów europejskich prowadzi błędną politykę wobec migrantów, bez których nie tylko fundusze socjalne, ale także standard życia wszystkich Europejczyków będą się obniżały. Tymczasem, nie bacząc na potrzeby, przyjmowanie migrantów traktuje się w dalszym ciągu jako akt łaski. W celu zapobieżenia rzekomej inwazji migrantów zacieśnia się granice UE, wydając miliardy na najnowocześniejsze zapory, bardziej przemyślne aniżeli mur berliński. Jest to zasadnicze nieporozumienie. Wydatki na funkcjonowanie struktur państwowych w UE wynoszą 48% produktu społecznego brutto i są o wiele wyższe niż w USA (35%) i w Chinach (20%). Wydatki te, poprzez podatki, obciążają koszty pracy i tym samym podnoszą ceny produktów.

W tym aspekcie niewiele pomoże rozszerzanie UE. Jest to wprawdzie przedsięwzięcie właściwe, ale na zbyt małą skalę. Europa zanadto skupia się na sobie, usiłując zachować tradycyjne, konserwatywne wartości, lokalne tożsamości i koneksje. Co parę lat – w zależności od opcji politycznej rządzącej koalicji – rewiduje i na nowo interpretuje wydarzenia historyczne, do których przecież doszło w zupełnie odmiennych warunkach i ustrojach. Programy polityczne partii i innych sił politycznych są fragmentaryczne i dyletanckie, często bez śladów wykorzystania dorobku nauki i realiów tego świata, ze swymi obietni-

camy bez pokrycia, obliczone na „łapankę” niedoinformowanego elektoratu, by zapewnić sobie następną kadencję. Są one pozbawione wizji i metod tworzenia społeczeństwa poindustrialnego i obywatelskiego. Nie ma w nich odniesienia do przemian na świecie, na przykład do pozytywnej kooperacji z wymienionymi potęgami jak również z krajami Trzeciego Świata, które na pewno potrzebowałyby naszej pomocy (nie wojskowej). Europejską dezintegrację pogłębiają ponadto niekończące się polemiki na temat prymatu interesów narodowych nad ogólnoeuropejskimi, na temat Europy dwóch, a może więcej niż dwóch szybkości, na temat wadliwego funkcjonowania demokracji (niska frekwencja wyborcza i legitymizacja organów władzy), braku wspólnej polityki zagranicznej, imigracyjnej i polityki pracy. Pół wieku minęło, a wciąż te obchodzące każdego obywatela sprawy są praktycznie w punkcie wyjścia. Przykładem skostnienia i niewydolności struktur europejskich może być historia tak zwanej Strategii Lizbońskiej, ustalonej przez UE w 2000 roku. Zakładała ona usprawnienie gospodarki europejskiej i zwiększenie jej zdolności konkurencyjnej do takiego stopnia, by do roku 2010 doścignęła gospodarkę amerykańską. Według przewodniczącego Komisji Europejskiej Josego Manuela Barrosa miało to być „tworzenie wzrostu gospodarczego i nowych miejsc pracy”⁵ oparte na przeznaczaniu co najmniej 3% PKB na badania naukowe, wspieraniu dostępu obywateli do Internetu, redukcji biurokracji, wzmożonemu podwyższaniu kwalifikacji pracowników, modernizacji systemów socjalnych i redukcji emisji szkodliwych gazów. Dzisiaj wiemy już, na podstawie opinii miarodajnych ekspertów Europejskiego Centrum Polityki, że cele tejże strategii nie będą osiągnięte, ponieważ „w Europie nie ma takiego tempa wzrostu gospodarczego, które umożliwiłoby prześcignięcie USA”⁶. Eksperti ci ustalili, iż zalecenia UE na poziomie abstrakcyjnym przyjmowane są przez rządy w miarę chętnie, im jednak są one bardziej konkretne, tym częściej opatruje się je adnotacją: „politycznie nie do przeforsowania”. Z praktyki wiadomo, że ogólnie sformułowane cele nie mają adresatów, czyli zobowiązanych do odpowiedzialności za wykonanie. Do takiej oczywistości doszedł też wspomniany Barroso, stwierdzając w wywiadzie dla polskiej gazety „Puls Biznesu”: „Dzisiaj widzimy, że działania te były realizowane najlepiej, jak to było możliwe, ale nie było wystarczającego przeniesienia ze szczebla europejskiego na krajowy. Wynika to również z agendy działań, która jest przeładowana, źle skoordynowana i czasem kreuje konflikt priorytetów. Sprzeczność planów występowała zarówno na szczeblu europejskim, jak i narodowym. Strategia ta powinna zakładać jak gonić gospodarkę amerykańską, a nie jak ją dogonić w określonym czasie”⁷. Jasno wypowiedział się na ten sam temat Wim Kok, były premier Holandii, koordynator raportu o postębach we wdrażaniu przedmiotowej strategii: „Aktualnie realizacja Strategii Lizbońskiej jest jeszcze

⁵ J. M. Barroso, *Strategia Lizbońska*. „Puls Biznesu” z dnia 18.03.2005.

⁶ P. Pilzner, J. F. Vannahme, *Europa will nicht wachsen*. „Die Zeit” z dnia 4. 11. 2004, nr 46, s. 30.

⁷ J. M. Barroso, *dz. cyt.*

bardziej potrzebna aniżeli w roku 2000. Jeżeli państwa UE nie zreformują systemów emerytalnych i gospodarka nie nabierze szybszego tempa, to grozi nam załamanie europejskiego modelu gospodarczo-społecznego⁸. Moim zdaniem to tylko część prawdy. W rzeczywistości system ten jest od dawna załamany, niesprawny i nieefektywny, a do najważniejszych przyczyn tego stanu rzeczy należą: stała redukcja miejsc pracy przez ucieczkę kapitału i przemieszczanie firm do oaz podatkowych i krajów z tańszą siłą roboczą (zamiast ich przyrostu), brak przyjaznej polityki migracyjnej, zbyt mała liczba wdrożonych innowacji na rynku pracy i zupełnie niepotrzebnie rozbudowany, kosztowny interwencjonizm państwowy. W Europie notorycznie nie wykorzystuje się posiadanych (często dobrze już wykwalifikowanych) zasobów ludzkich. W ostatnich latach w stałym stosunku pracy znajdowało się w krajach Unii Europejskiej nie więcej jak 55–62% ludzi zdolnych do pracy. Straty w rozwoju naszego kontynentu z tego powodu są bezpowrotne, a szanse dotkniętych bezrobociem osób często na zawsze zaprzepaszczone.

Kapitalizm jako dominujący ustrój w krajach wysoko rozwiniętych

Chciałbym tu przedstawić zapatrywania elit intelektualnych Niemiec i Wielkiej Brytanii na formę i niektóre konsekwencje kapitalizmu. Realia RFN dziesiątki lat badacze opisywali następująco: „Społeczeństwo, w którym nie wszyscy są bogaci, ale każdy może być pewny, że w ciągu dziesięciu lat, o ile tylko pracował, będzie posiadać więcej niż dzisiaj. Jego dzieci natomiast będą miały w ciągu dwudziestu lat jeszcze więcej”. W RFN poprzedniego wieku znana była kolektywna obietnica: „każdemu powoli, ale systematycznie wiedzie się lepiej”⁹. Na początku XXI wieku ta obietnica nadal obowiązuje, lecz już nie dotyczy wszystkich. Dla jednych poziom dobrobytu wzrasta, drudzy w wymiarze gospodarczym czują się wykluczeni lub zagrożeni. Ostatnie, zeszłoroczne sprawozdanie rządowe dotyczące biedy i bogactwa donosi¹⁰, iż 10% Niemców posiada niemal 50% całego zarejestrowanego majątku, 10% najbiedniejszych nie ma zaś nic lub tylko długi. „Nigdy w historii RFN bieda i bogactwo nie leżały tak daleko od siebie” – stwierdził berliński badacz społeczny Martin Kronauer¹¹. Od siebie dodałbym, że nigdy nie było też tak wielu bezrobotnych. Już w połowie minionego wieku Georg Orwell powiedział, że „społeczeństwa hierarchiczne funkcjonują na gruncie biedy i ignorancji”¹². Potwierdza to zresztą dzisiejszy trend. Prawie wszędzie w Europie – pisze angielski badacz John Jungclaussen – „ludzie próbowali realizować utopię socjalizmu i komunizmu z różnymi rezultatami. Jedynie Brytyjczycy ze stoickim spokojem rozwijali kapitalistyczną demokrację. Dzisiaj zróżnicowanie

⁸ Tamże.

⁹ B. Vogel, *Die neue Unterschicht*. „Die Zeit” 2005, nr 11, s. 21.

¹⁰ W. Uchatius, *Die neue Unterschicht*. „Die Zeit” 2005, nr 11, s. 21.

¹¹ Tamże.

¹² J. Jungclaussen, *Arm, aber selbstbewusst*. „Die Zeit” 2005, nr 11, s. 22.

socjalne odgrywa w Wielkiej Brytanii znacznie większą rolę aniżeli w innych krajach zachodniego świata. W 2000 roku do 1% ludności należało 23% całego majątku, równocześnie 22% ludności (a więc 12,4 mln Brytyjczyków) żyło poniżej egzystencjalnego minimum. Inne wyróżniki nędzy są także zastraszające, na przykład: 15 mln Brytyjczyków (22% wszystkich mieszkańców) zaliczanych jest do analfabetów. Notabene w Niemczech jako analfabetów zakwalifikowano 14% ludności. Wyobrażenie o państwie opiekuńczym, po którym obywatel może się spodziewać czegoś dobrego, jest Brytyjczykom obce. Wielka Brytania jako państwo nigdy nie świadczyła obywatelom tyle, ile państwa kontynentalne. Dlatego też ten, kto popadnie w biedę, nie czuje się wykluczony. Odwrotnie, stara się z biedy wydostać, aby znowu należeć do klasy robotniczej, gdyż jest to dla niego zaszczyt i potwierdzenie tożsamości. Ponad dwie trzecie Brytyjczyków uważa się za robotników i są z tego powodu dumni¹³. Badacz angielskiej opinii publicznej Robert Martimore interpretuje to zjawisko klasowej więzi następującymi słowami: „Robotnicy nie separują się od swojej klasy nawet wtedy, kiedy uda się im osiągnąć niższą warstwę klasy średniej”¹⁴.

Niemieccy intelektualiści¹⁵ (Thomas Assheuer, Arnulf Baring, Michael Theunissen, Robert Menasse, Heinz Dieter Kittsteiner, Hans-Olaf Henkel, Fritz Scharpf i inni) współczesny kapitalizm pojmują odmiennie. Uważają, że już nie polityka jest siłą sprawczą rozwoju, lecz wszechogarniająca władza gospodarki narzucającej wszystkim obywatelom własne reguły, i to w sposób niepodzielny, nieprzejrzysty i anonimowy. Parafrazują potęgę wpływu gospodarki na człowieka, twierdząc, iż ekonomia jest początkiem i końcem, strachem i nadzieją, to ona nam grozi i nas chwali, nagradza i karze, niekiedy daruje nam pracę i dobrobyt, innym razem odbiera wszystko, co dała. Kiedyś mówiono, że trzeba się poddać swojemu losowi, czyli poddać się biegowi rzeczy. Dziś oznacza to dopasowanie się do praw rządzących globalizacją. „Bogowie” kapitału muszą być chwilowo w humorze i łaskawi lub ich przychylność musi być kupiona pewną liczbą ofiar (czytaj: redukcją zatrudnienia), aby zechcieli, na przykład, płacić państwu podatki czy uczestniczyć w rozwiązywaniu lokalnych problemów. Jeżeli nie odpowiadają im warunki oferowane przez polityków, wówczas – tak jak Cyganie – uruchamiają swój tabor i emigrują do innego kraju. Przykład: Tylko na życzenie bossów koncernu General Motors rząd szwedzki zbudował autostradę i kolejową stację przeładunkową, a rząd polski obdarował ten sam koncern dziesięcioletnią karencją w płaceniu podatków.

Ekonomia działa dziś według własnych praw, hołdując logice zyskowności i samooceny. Zasada, w myśl której gospodarka jest dla ludzi, a nie odwrotnie, już nie obowiązuje. Na podstawowe pytanie polityczne: „Kto decyduje?” (o kierun-

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ T. Assheuer, *In den Stahlgewittern des Kapitalismus*. „Die Zeit” 2005, nr 11, ss. 41–42.

ku rozwoju społeczeństwa) znacznie rzadziej odpowiadają wybierani demokratycznie politycy, a coraz częściej niewyberani szefowie koncernów. Dla koncernów, działających w sferze międzynarodowej, świat jest jednym rynkiem. Jedyne zmartwienie ich szefów to wygranie współzawodnictwa z innymi koncernami. Troską państw jest nie tylko współzawodnictwo gospodarcze z innymi państwami, ale także poprawa dobrobytu społeczeństwa. Globalna ekonomia zdominowała jednak politykę państw narodowych. Według Dahrendorfa zasadnicze pytanie dla polityki dzisiejszego państwa brzmi: „Jak można osiągnąć konieczną zdolność konkurencyjną gospodarki państwowej bez niepotrzebnego zrujnowania porządku społecznego”¹⁶. Tylko pojedynczym państwom ta sztuka się udało. Te właśnie realia powodują, że postmodernistyczne słowa o samostanowieniu i kształtowaniu polityki przez społeczeństwo obywatelskie, niegdyś tak czarująco działające na masy, straciły swój blask, nie mówiąc już o wspaniałej maksymie z okresu oświecenia: „Los człowieka powinna zastąpić jego wolność”, która w naszych czasach staje się pusta i w gruncie rzeczy nieziszczalna. O jakiej bowiem wolności mogą myśleć ludzie niemający pracy ani potrzebnych na rynku pracy kwalifikacji, ale mający rodzinę z małymi dziećmi? Podobnie jest z powstałą na gruncie liberalnym „równością szans”. Jak piszą Bihl i Pfefferkorn, „równość szans nie jest równoznaczna ani z równością rezultatów, ani z równością kondycji, ale dla wielu ludzi oznacza po prostu równość bez żadnego określenia. Posługiwanie się tym wyrażeniem przez polityków, zresztą bez względu na barwę czy prasę – także lewicową – okazało się praktyką zdradliwą i przyniosło opłakane skutki. Wyjściowa równość szans pozwala bowiem usprawiedliwić nierówność rezultatów. Tam, gdzie jest równość, nie potrzeba szans, a tam, gdzie potrzeba szans, nie ma równości; jest hazard: wielka wygrana albo nagroda pocieszenia”¹⁷. Trzeba chyba powiedzieć jasno: w żadnej odmianie kapitalizmu nie gwarantuje się nikomu równości, lecz stworzenie biedniejszym warstwom społecznym szans na co najmniej przeciętne warunki bytowe nie jest nierealne, a na pewno pobudzałoby je do działania.

Wobec takiej sytuacji wśród krytyków kapitalizmu wytworzyły się dwie grupy światopoglądowe: jedną można określić mianem **nostalgików**, drugą – **nieodwracalnych**. Nostalgicy posługują się retoryką troski, nieodwracalni retoryką faktów dokonanych. Nostalgicy konstatują, iż historia świata obrała po prostu inny kierunek. Dawne powiedzenie: „Najlepsze jest jeszcze przed nami” zdezaktualizowało się. Od przyszłości nie należy oczekiwać obietnicy bycia przyszłością świetlaną, lecz raczej ciemnych zagrożeń, które objawiają się w postaci już odczuwalnego zniewolenia i pomnażania różnego rodzaju przymusów. Berliński filozof Michael Theunissen twierdzi z eschatologicznym zacięciem, że nasza

¹⁶ D. Erb, *Deutschland – der Exportweltmeister in der Einbahnstrasse*. „Neue Gesellschaft, Frankfurter Hefte, Kapitalismen“ 2006, nr 1+2, s. 79.

¹⁷ A. Bihl, R. Pfefferkorn, *Neoliberalna równość szans*. „Le Mond diplomatique” 2006, nr 1, s. 16 [edycja polska].

współczesność jest sama w sobie losowo zagmatwana i zmierza wprost do utraty wolności. Czasami zdoła się tu i ówdzie wypracować jakiś postęp lub drobne ułatwienie, ale w istocie rzeczy wszystko kręci się w koło i pogarsza. Kapitalizm pożera własne dzieci i wyczerpuje się w jałowej pogoni za wyższym poziomem materialnej egzystencji. Tam, gdzie kiedyś było dążenie do „szczęśliwego życia”, jest dzisiaj „opcja”. Nostalgicy nie mają żadnych wątpliwości, że wysiłek, który ludzie wkładają w tak zwany wyścig szczurów, aby zdobyć lepszą pozycję zawodową, a tym samym społeczną i finansową, na dłuższą metę nie opłaca się. Powoduje on co prawda wzrost obrotów, czasem także korzyści osobistych, ale nie daje szczęścia. Profesor Richard Layard z London School of Economics, po podsumowaniu odpowiednich badań, powiedział: „Ludzie świata zachodniego mimo ogromnego wzrostu gospodarczego i przeciętnie wyższego dobrobytu nie są dzisiaj szczęśliwsi niż przed pięćdziesięciu laty”¹⁸. Zadowoleni są tylko ci, którzy pracują i czują się przynależni do społeczeństwa. Dlatego też nostalgicy chcą chronić „święte tradycje”, przeciwstawiając się napływowi wszelkich nowości, naruszających dotychczasowe wartości, przyzwyczajenia, normy i role. Naturalnie kwalifikuje się ich jako konserwatystów. Ta okoliczność – wobec niemożliwości okiełznania kapitalistycznego ducha z jego ekonomicznym myśleniem – każe im ratować i chronić z przeszłości to, co się da.

Nieodwracalni interpretują kapitalistyczną współczesność w inny sposób. Na początku przyznają rację nostalgikom, że triumfujący kapitalizm stał się ludzkim losem, a ekonomia rodzajem wyższej mocy. Z tego wyciągają jednakże inne wnioski w odniesieniu do działania. Po męsku starają się zaakceptować to, czego nie da się odwrócić. Podczas gdy nostalgik w smutku bilansuje straty, jego światopoglądowy antagonistą decyduje się na ucieczkę w przód i aprobejuje świat taki, jakim jest. Jego pobratymcy artykułują też przekonanie, że miarą realności nie powinna być jakakolwiek ideologia czy lepsza przeszłość. **Na los przenikającego wszelkie sfery życia kapitalizmu mają tylko jedną odpowiedź – heroizm dostosowania się.** Konsekwencje takiego podejścia są widoczne jak na dłoni. Nostalgiczna krytyka kapitalizmu nie ma sensu. Zresztą – pytają ze zdziwieniem – jak można krytykować ustrój świata, dla którego brak alternatywy? Nieodwracalni wywodzą także, iż o ile kapitalizm jest losem, globalizacja w dużej mierze była chciana i planowana. Nikt nie zmuszał przecież polityków do umożliwiania wszelakim przedsiębiorstwom i instytucjom działania na całej naszej ziemi. Ludzkość zawsze o tym marzyła, a negatywne strony globalnego kapitalizmu mogły być i nadal mogą być opanowane lub ograniczone. Rezygnację z jego regulacji zawdzięczamy powstałej w latach trzydziestych poprzedniego wieku teorii neoliberalizmu, która zdominowała stopniowo socjaldemokrację na obszarze prawie całej cywilizacji zachodniej i nie widać symptomów jej zmierzchu.

¹⁸ R. Layard, *Arm, aber selbstbewusst*, „Die Zeit” nr 11/2005, s. 22.

Redukcja szans na pracę

Na naszym globie jest i będzie coraz mniej płatnej pracy. Ta sytuacja nie zmieni się dopóty, dopóki będzie dominować neoliberalna, a nie społeczna doktryna stosunków kapitalistycznych. Dla neoliberalnej gospodarki rynkowej, która niestety przeważa w krajach wysoko rozwiniętych, człowiek jest *de facto* instrumentem służącym do tworzenia wartości dodatkowej, zysku właściciela kapitału i jego infrastruktury. Komputeryzacja i robotyzacja rugują miejsca pracy masowo i bezlitośnie. Za sprawą ciąglego wdrażania ulepszonych technologii niemal każdą pracę będzie można wkrótce wykonać taniej niż przy pomocy najtańszej nawet siły roboczej. W takich okolicznościach zatrudnienie będzie systematycznie redukowane. O ile w niedawnej przeszłości przeciętny pracownik poświęcał na pracę 15–20% swego życia, o tyle w 2050 roku – zgodnie z przewidywaniami – będzie mu dane przepracować już tylko 5% życia. Będzie zmuszony do zabezpieczenia wszystkich swoich potrzeb w tak krótkim okresie. Czy jest to możliwe? Osobiście wątpię, ale pierwociny tej tendencji upowszechniają się w naszej cywilizacji dość szybko. Niedostosowanie do wolnej gry sił rynkowych dotyka już ponad 32 mln bezrobotnych mieszkańców UE (naturalnie z najbliższymi – dziećmi i osobami niezdolnymi do pracy), przybierając formę wykluczenia z systemów socjalnych, czyli wtrącenia w stan nędzy materialnej i duchowej. Tymczasem pracy (niestety nisko płatnej lub niepłatnej) w upadających dziedzinach gospodarki, ale też w dziedzinach dobrze funkcjonujących, i na leżących odłogiem terenach jest na świecie i w Europie dosyć. Brakuje ogólnej koncepcji zaangażowania wszystkich chcących pracować dla siebie i *pro publico bono*, natomiast wspaniała idea rozwoju społeczeństwa cywilnego lub obywatelskiego, w którym każdy członek społeczeństwa znalazłby miejsce pracy dostosowane do swoich psychofizycznych możliwości i kwalifikacji, została zdegradowana do nierealnej utopii, napotyka opór lub brak zainteresowania ze strony krótkowzrocznych polityków i skostniałych instytucji publicznych. Apoteoza rynku i podporządkowanie się przez instytucje i organy państwowe mechanizmom rynkowym nie przyniosły większości warstw społecznych pożądanego rezultatu. Na Zachodzie konsekwencją tej wolnorynkowej demokracji jest wzrost dobrobytu jednej trzeciej społeczeństwa i stopniowy spadek dobrobytu dwóch trzecich społeczeństwa. Jeszcze dwadzieścia lat temu proporcje były tu odwrotne. Laureat Literackiej Nagrody Nobla Günter Grass i znany socjolog francuski Pierre Bourdieu zgodzili się ze sobą w telewizyjnej dyskusji: „Po upadku systemów komunistycznych, w demokracjach zachodnich nie powstał żaden znaczący międzynarodowy ruch społeczny, który byłby przeciwwagą dla neoliberalno-kapitalistycznej doktryny traktowania pracy i życia ludzkiego. Bourdieu oskarżył tę doktrynę, stwierdzając, iż neoliberalizm jest jak AIDS – atakuje system obronny swoich ofiar”¹⁹.

¹⁹ B. Bartz, *Akseleracja globalnych dylematów a funkcjonowanie demokracji*. [W:] *Integracja europejska a globalizacja*. Pod red. T. Walasa. Wyd. Naukowe Instytutu Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Słubice 2003, s. 81.

Trudności ze zdobyciem pracy, z którymi bez wątplenia możemy się liczyć w przyszłości, są sprzężone z wyznawanymi wartościami. Nie ma rozwoju gospodarki bez pracy i wspomagania kreatywności człowieka. Tym, co pobudza człowieka do wysiłku i innowacyjności, jest klimat wolności i bycie panem własnego losu. Jeżeli ludzie mają poczucie, że to inni są za nich odpowiedzialni, ich starania maleją. Kiedy inni perorują, jak powinno się myśleć i w co wierzyć, następstwem jest utrata motywacji i kreatywności albo bunt – jednak ani poddańczość, ani bunt nie prowadzą do rozwoju. Zaufanie do człowieka i wiara w jego możliwości to składniki systemu wartości, które wspierają rozwój. Dla społeczeństw, które przeciwstawiają się rozwojowi, typowy jest brak zaufania do człowieka, jego ograniczanie i kontrolowanie. Społeczeństwo, w którym się ludziom ufa, musi być też gotowe do wzięcia na siebie pewnego ryzyka. Wynika ono z tego, że niektórzy będą podejmować decyzje sprzeczne z życzeniami rządzących. Gdyby takiego ryzyka nie dopuszczono i każde indywiduum zostało poddane ścisłej sieci kontrolnej, straciłoby na tym całe społeczeństwo, ponieważ samo wyłączyłoby najważniejszy motor rozwoju, mianowicie dążenie każdego do tego, aby myśleć tak, jak się komu podoba, aby zatem być tym, kim się jest, i zrobić z siebie kogoś niepowtarzalnego. Tam, gdzie nie ma indywidualności, lecz jedynie „narody”, „milczące masy” i „pewny elektorat”, nie dochodzi do rozwoju, w zamian za to panuje wymuszone posłuszeństwo i wyciąganie ręki o pomoc.

Niedocenie oświaty

Co szósty dorosły na świecie nie potrafi czytać i pisać. Ponad 600 mln kobiet i 300 mln mężczyzn (w 99% mieszkających w krajach rozwijających się) kwalifikuje się do kategorii analfabetów. Podczas gdy w krajach Trzeciego Świata w dalszym ciągu niedoścignionym pragnieniem jest upowszechnienie kształcenia na poziomie podstawowym (co piąte dziecko nie chodzi do szkoły, co czwarte przerywa naukę po pięciu latach), w wielu krajach wysoko rozwiniętych (również w Europie) obserwuje się symptomy pogorszenia się warunków zdobywania wykształcenia i obniżenia jego jakościowego poziomu. Ponieważ większość tych państw rejestruje powiększające się z roku na rok deficyty budżetowe, redukuje się wydatki na oświatę i tym samym przerzuca koszty kształcenia na obywateli. Oświatę w dalszym ciągu traktuje się jako sferę wydatków, a nie jako inwestycję w przyszłość. Dzieje się to wszystko, tak jakby nie było wiadome, że adekwatna do naszych czasów edukacja:

- ma fundamentalne znaczenie dla budowy i rozwoju demokratycznych społeczeństw,
- jest rodzajem uniwersalnych praw człowieka, ponieważ służy przekazywaniu wiedzy i umiejętności, daje siłę do samorefleksji, podejmowania decyzji i konstruowania lepszego życia,
- przyczynia się w sposób jednoznaczny i wymierny do wzrostu gospodarczego, podwyższenia produktywności, rentowności i przeciętnej płacy,

- ▶ przychodzi w sukurs kształtowaniu poczucia przynależności do społeczeństwa światowego, bez którego trudno będzie rozwiązywać globalne i lokalne problemy,
- ▶ jest najskuteczniejszym narzędziem do walki z biedą i nierównością społeczną oraz kanwą trwałego rozwoju,
- ▶ wreszcie, ma znaczący wpływ na bezpośrednie i pośrednie korzyści niematerialne w postaci lepszego zdrowia, niższego stopnia kryminalności, większego zaufania do ludzi i społeczeństwa czy dążenia do międzyludzkiej współpracy.

Tendencja ograniczania wydatków budżetowych na oświatę nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia – argumentów na to dostarczają zarówno badania naukowe, jak i empiria. Długoletnie badania naukowe, przeprowadzone przez Hiszpanów De la Fuente i Ciccione²⁰ na zlecenie Komisji Europejskiej w latach 1960–1990, wykazały, że każdy dodatkowy rok kształcenia ludności w krajach OECD przyczynił się w poszczególnych państwach członkowskich do rocznego wzrostu gospodarczego netto o 3,53–10,89%, wzrostu produktywności o 3,25–5,0% i podwyższenia przeciętnej płacy o 6,5–9%. Wpływowi edukacji jako siły sprawczej przypisuje się w badanym okresie dwudziestodwuprocentowy przyrost produktywności, a w jednym tylko roku 1990, w niektórych krajach, nawet czterdziestopięcioprocentowy. Jeżeli przyjmiemy, że kraje rozwijające się osiągną zaledwie ułamek produktywności krajów OECD, kraje zaś, które wstąpiły do UE w 2004, około 60% przeciętnej europejskiej (w tym Polska 47%), to możemy sobie łatwo wyobrazić, jaką szansę stanowi dla tych społeczeństw zmasowanie inwestycji w potencjał ludzki. W ten oto sposób rozstrzygnięto wątpliwości wielu polityków i ekonomistów co do wymiernego wpływu wykształcenia na dobrobyt człowieka i wzrost gospodarczy.

Niestety, większość decydentów politycznych nie zna lub nie przyjmuje do wiadomości wyników tych badań, dbając raczej tylko o własną przyszłość. Zrzeszeni w różnych stowarzyszeniach nauczyciele i politycy oświatowi mogliby zainicjować utworzenie centralnej instytucji badawczej (opartej na komunikacji elektronicznej i uzupełnionej o przedstawicieli państwa, społeczeństwa i prywatnej przedsiębiorczości), żeby rozwiązać problem adekwatnego do współczesności przygotowania obywateli do pracy. W ramach systemu rynkowego i kapitalistycznego działanie systemu kształcenia jest i będzie traktowane inaczej niż w realnym socjalizmie, toteż uwzględniając dorobek przeszłości, musimy poszukiwać nowej formuły jakości i efektywności oświaty. Doskonałymi rezultatami mogą się poszczycić placówki edukacyjne, które chcąc osiągnąć międzynarodowy standard i porównywalność z najlepszymi, zdecydowały się na implementację systemu zarządzania jakością według normy ISO 9001:2000. Nowoczesnymi modelami wdrażania tego rodzaju systemów zajmuje się w Polsce między innymi Instytut Międzynarodowej Edukacji i Certyfikacji Jakości w Płocku. Udowodnienie jako-

²⁰ A. De la Fuente, A. Ciccione, *Das Humankapital in der Wissensbasierten globalen Wirtschaft*. Luxemburg 2003, ss. 3–4 i 39–40.

ści i efektów pracy szkolnictwa leży w obszarze zainteresowań wszystkich nauk pedagogicznych, w tym andragogiki i pedagogiki pracy. Zawodowe wykształcenie absolwenta musi być wiarygodne nie tylko dla podmiotów gospodarczych w kraju, ale także – coraz częściej – za granicą. Brak wiarygodności wykształcenia, w tym znajomości języka obcego i kompetencji interkulturowych, pociąga za sobą degradację wysiłku szkoły i wychowanków. System oświatowy powinien temu jak najszybciej zapobiec. Istnieje mnóstwo nowoczesnych wzorów rozwiązań zarówno w Europie, jak i na świecie.

Pomijanie przedstawionych w tym przyczynku przemian w programach szkolnych zuboży kompetencje absolwentów naszych szkół, a dotyczy to wszystkich poziomów szkolnictwa i form edukacji, utrudni im samorealizację w kraju i na świecie. Konsekwencje poniosą oni sami i społeczeństwo, z którego się wywodzą.

Summary

Of what influences pedagogical science on the global scale

The author of this article deals with global trends, which currently influence peoples' life and work more and more intensively. So far, work has been recognized as the only way for the man's self-actualization. If so, the nature of the listed below trends and their possible consequences should be taken into account in pedagogical science, education and teaching curricula, and especially in work pedagogy and andragogy. The trends include: **the emergence of global society** and the necessity to take advantage of different civilizations' culture, **the increase in immigration** and the spreading of multiculturalism, **geopolitical development** that alters the political influence worldwide, **capitalism**, which demands different reaction to cope with than in the past, **reduction of employment opportunities**, which involves freedom limitations, and **underappreciation of knowledge**, as unfavourable and contradictory trend in contrast to the expected progress. The ignorance of these global trends in education leads to the lack of orientation and inefficiency of millions of learners, making their entry into the labour market more difficult and, in consequence, presents a threat to the society development.